

## JAN MAŃDZIUK

ur. 1933



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin; PRL; I Liceum Ogólnokształcącego im. B. Głowackiego w Tomaszowie Lubelskim ; pacyfikacja wsi Huta Dzierążyńska ; II wojna światowa ; dzieciństwo ; edukacja ; nauczyciele z I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica ; Prywatne Żeńskie Gimnazjum Wacławy Arciszowej ; szkolnictwo ; Marzec 1968 ; Październik 1956 ; komunizm ; Miasteczko Akademickie UMCS ; życie polityczne ; życie codzienne ; studia historyczne ; UMCS ; Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie ; ZSP ; Zrzeszenie Studentów Polskich w Lublinie ; Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych ; Lubelski Rocznik Pedagogiczny ; Szkoła Praw Człowieka ; Białas, Mieczysław ; Burda, Andrzej (1913-1987) ; Łupina, Zygmunt (1929-2017) ; Kozdra, Władysław (1920-1986) ; Markiewicz, Jerzy ; Śladkowski, Wiesław (1935- )

### 1. „Kiedy wybuchła wojna, miałem sześć lat”

Pochodzę z Zamojszczyzny, a urodziłem się w roku 1933 w lutym, czyli za miesiąc, jak się dożyje, powinno być osiemdziesiąt pięć. Tak jak powiedziałem, pochodzę z Zamojszczyzny. Jest to o tyle ważne, że Zamojszczyzna w okresie okupacji była szczególnym terenem. Kiedy wybuchła wojna, miałem sześć lat i parę miesięcy i miałem pójść do szkoły. Niestety, wybuchła wojna, jako rodzina żegnaliśmy mojego tatę, który poszedł na front, i dopiero wrócił w [19]44 roku, ponieważ był w niewoli niemieckiej, a właściwie w obozie i tam pracował, bo Niemcy nie mieli robotników, to tak wykorzystywali sytuację. Pamiętam dokładnie, jak żegnaliśmy ojca, bo dużo ludzi się zgromadziło, bo jeden jedyny odchodził na front, jedyny z tej miejscowości. Był w rezerwie i wzięli go. Był zwykłym szeregowym, ale przed wojną służył w kawalerii i widocznie gdzieś tam w tych kwitach wyglądało tak, że trzeba było go wziąć. My pozostaliśmy sami w tym trudnym czasie. Moja miejscowość to jest Huta Dzierążyńska w gminie Krynice, to była szczególna miejscowość, bo była tam bardzo silna partyzantka, BCh [Batalionów Chłopskich –przyp. red.], właściwie najsilniejsza. BCh koncentrowała się głównie w lesie Grabina, tak się to nazywało. Z mojego okna, mojego domu, widać ten las. To była bardzo silna partyzantka i pewnie to było przyczyną tego, że jednego razu zabito Niemca i oczywiście w związku z tym retorsja i Niemcy zabili sto osób. Nie wiem, czy dokładnie sto, ale tak zamierzali. Jest tam

zbiorowa mogiła poświęcona tym ludziom, czyli ten teren był ciągle bardzo niebezpieczny z tytułu partyzantki. Stąd mieszkaliśmy bardzo często w lesie, musieliśmy uciekać. Wieś była chyba dwa razy pacyfikowana, to znaczy otaczano wieś i wywożono ludzi. Za każdym razem udało nam się, mimo braku ojca, uciec, ponieważ tam były takie wąwozy niedaleko zabudowań i można było w nich się schronić. Niemcy z reguły nie wkraczali już w te tereny poza zabudowaniami, także udało nam się uciec, chyba dwa razy. Byłem też u swoich kuzynów w Podhorcach jakiś czas i tu ciekawostka: ile może spać dzieci i dorosłych w jednym łóżku? Odpowiem: siedmioro. Osoby kładły się w poprzek, dwie panie były w ciąży, a reszta to była młodzież, dzieci, głównie dzieci. To tylko taki przyczynek, jak to było.

## 2. Wojenne wspomnienia

Pamiętam, jak ta partyzantka zbierała się, a obok był dom Samulaków. Tam było trzech braci, którzy służyli w tej partyzantce i to dwóch z nich bardzo energicznie. I chcę powiedzieć taką rzecz, że swego czasu moja mama zauważyła, że jadą Niemcy i krzyknęła do mnie: „Leć, Niemcy jadą!” I ja wpadłem do tych sąsiadów-partyzantów, oni wyskoczyli, a Niemcy przejechali i się nie zatrzymali. Gdyby nie to ostrzeżenie, różnie mogłoby być, bo oni się hałaśliwie zachowywali, a okna były otwarte. Jak powiedziałem, nie mieszkaliśmy u siebie dość często, dlatego że były niespokojne czasy, ale i dlatego, że ta miejscowość była przeznaczona na osiedlenie się Niemców. I ten nasz dom, skromny, dzisiaj to jest kucza, a wtedy pokój z kuchnią był wyznaczony, jakie te inne domy musiały być marne, ale on nie miał strzechy, tylko eternit, może to go wyróżniało. Nie wolno nam było mieszkać w tym domu, który stał się pusty. Więc mieszkaliśmy w różnych miejscowościach i mieszkaliśmy też w Majdanie Sopockim, to jest ta sama gmina, stamtąd pochodzi mój ojciec i tam też byliśmy. To jest ze cztery kilometry przez pola i lasy, ale trzeba było to przejść, nakarmić i napić te krowy, świnie, bo to wszystko było przy domu. Zawsze mama mnie brała: „Chodź ze mną” I widziałem taki fakt, to na końcu wsi się działo, jak rodzina uciekała przed Niemcami za taki kopiec z ziemniakami na wsi i zakrywali się tak z twarzą i ci Niemcy ich zabili, jedenaście osób. Ja tam bezpośrednio nie byłem, ale mama poszła tam zaraz, jak oni odjechali. Leżałem pod podłogą na wszelki wypadek, gdyby Niemcy dalej się gdzieś ruszali. W ogóle człowiek był przygotowany ciągle do tego, żeby uciekać. Raz uciekaliśmy z siostrą, ona skoczyła w taki rów, jar, a brat jeden, drugi, mama, nie wiemy gdzie. Baliśmy się wychylić z tego miejsca przez cały dzień, bo może oni jeszcze gdzieś są. W związku z tym człowiek siedział skulony i czekał. Dopiero jak zmrok nastąpił, wszyscy się połączyliśmy.

## 3. Jeszcze o czasach wojennych

Był taki *Dorfführer* [niem. „sołtys”–przyp. red.], czyli wódz wsi, on z frontu przybył i

oczywiście zawsze szukał cielęciny, jeździł na koniu, był bardzo bezwzględny, może dlatego, że stracił oko na froncie. Nawiasem mówiąc, partyzanci z tej samej wsi pięknie go załatwili. Jechał bryczką do Zamościa na naradę i partyzant, nazywał się Szydłowski, pięknie to zrobił, ściął go z CKM-u. W każdym razie ten Niemiec, może ktoś mu powiedział, że u nas jest cielak, bo był, no więc oczywiście co robić? Mówią: „Jedź na koniu!” On jeździł na koniu zawsze z taką szpicrutą i jak trzeba było, to uderzał. Jak ktoś szedł czy coś, tak na wszelki wypadek. Mówią: „Bierz tego cielaka za stodołę i w groch!” taki zielony groch. Ja to zrobiłem, ale długo nikt nie przychodzi do mnie, a okazuje się, że ten Niemiec sobie do nas przyszedł i oczywiście siedział, rozmawiał z ojcem, bo ojciec wrócił z tej niewoli, więc znał trochę niemiecki, musiał znać. I wobec tego zabawiali się rozmową. A mnie ten cielak zaczął beczeć, to wkładałem mu rękę w pysk, o mało mi palców nie wyssał. Takie były przeżycia. To wszystko wraca, tkwi w pamięci. Widziałem na przykład, jak uciekał ten Szydłowski, o którym mówię, że załatwił niemieckiego sołtysa, to był chłopak bardzo sprawny. Niemcy wytropili go na końcu wsi i ścigali furmanką, on uciekał przez pola, więc mieli go na muszce, ale nie mogli go trafić tak na stojąco cały czas. Pamiętam, jak na naszym polu zrzucił buty, żeby szybciej uciekać, i później oczywiście dalej i tam go dopadli, dopadli go żywego, nie zabili. Pamiętam, jak go prowadzili przez całą wieś, bosy, skutego. Wywieźli go na Majdanek, ale im uciekł, także inni ludzie uciekali. Przynajmniej dwa czy trzy przypadki znam, że ludziom udało się uciec.

#### **4. Inne wspomnienia z dzieciństwa**

Huta Dzierżyńska była połączona z Budami. Od szosy zaczynają się Budy, ale nie ma żadnego rozdzielenia tych wsi, więc łącznie z Budami spora była ta wieś. Jest ładnie położona, teren pagórkowaty, właśnie zjeżdżanie na nartach zaczęło się u mnie w czasie okupacji, miałem taką wielką potrzebę jazdy na nartach. Do dziś to mam, jak wariat stary, ale wtedy, żeby mnie zaspokoić, mój starszy brat zrobił mi pierwsze narty z beczki. Zacząłem na tym praktykować. Jeździłem, u nas są ładne górki, jak by dobrze popatrzeć, to mógłby tam być niezły, ładny wyciąg, tylko że wtedy wiadomo, jak to było. Jakoś się tam wtedy tak dobrze czułem, a później studia i tak dalej i te narty zostały. Poza tym starałem się być taką dość pomocną dłońią dla mamy, która wszystkim się zajmowała, wiadomo, nas było kilkoro.

#### **5. Powrót do szkoły. Liceum w Tomaszowie**

Kiedy już Niemcy opuszczali Polskę, to wtedy dopiero mogliśmy chodzić do szkoły. I zdarzyło się tak, że w jednym roku, [19]44 na [19]45, zrobiłem cztery klasy. Cztery – pierwszą, drugą, trzecią i czwartą. Następnie nauczyciele tej szkoły, bo to było na miejscu, w tej wsi, w Hucie Dzierżyńskiej, uznali, że mógłbym nie chodzić do klasy piątej, to dotyczyło mnie i jeszcze mojego kuzyna i skierowali nas od razu do klasy

szóstej, do Krynic. Stąd byłem w klasie szóstej i siódmej, czyli w ciągu trzech lat zrobiłem lat siedem, to znaczy zaliczyłem siedem klas. Nie wiem, może to nie było takie powszechne, ale zdarzały się i takie przypadki. W [19]47 roku zdałem egzamin do liceum Bartosza Głowackiego w Tomaszowie Lubelskim i tam byłem do [19]51. Mieszkaliśmy tam u takich kuzynów, Kazugów. Ona później była nauczycielką w liceum w Zamościu, a później wyjechała do Stanów, była tam z matką i tam umarła. Ale wtedy była studentką KUL-u, a jej brat zginął i pochowany był w Babinie jako czołowy partyzant. Zawsze jeżdżę na tę mogiłę, bo obiecałem tej jego siostrze, Krystynie, że dopóki będę żył, to będę tam jakoś go odwiedzał. Kiedyś byłem w Stanach i ona mnie o to prosiła. W czasach liceum do tego Tomaszowa bardzo często podrzucał nas taki wujek Janek. Podwoził nas [wozem konnym –przyp. red.] pod Tomaszów, a później szliśmy, bo samochodów nie było. Ani samochodów, nikt nie miał wtedy samochodu, ani innej komunikacji, zresztą nie było też jeszcze wtedy drogi, nie było światła, no może światło w [19]47 już było. Więc chodziliśmy z takimi woreczkami lnianymi na plecach. W rogach były kartofle, żeby zaczepić i szliśmy, dla mnie nie było to problemem, ja mógłbym iść nawet środkiem miasta, ale ten mój kuzyn, Tolek Chwaleba, wstydził się ogromnie, to już takimi bocznymi ulicami musieliśmy iść, a jak nas gdzieś tam wysadził, w Tarnawatce założmy, to ten cały kawałek musieliśmy przejść i przez całe miasto, bo ten dom, gdzie mieszkaliśmy, był niedaleko liceum Bartosza. To też taka ciekawostka z tego naszego życia. Nawiasem mówiąc, dojeżdżałem też trochę do Tomaszowa, do liceum rowerem. Stamtąd do szosy jest ciężka droga, ale najgorsze było to, że ten rower był związany sznurkiem, ponieważ wydobywała się dętka z niego. Za każdym razem, jakaż to była ciężka praca, żeby tym rowerem dojechać, to jest około 14 kilometrów. Jak już dojechałem, nieraz spocony, zmęczony, zbity śniegiem czy deszczem, to już miałem dość. Szkołę fajnie się wspomina, ja nawet zawsze jeżdżę do tej szkoły na różne zjazdy. Był to okres z punktu widzenia politycznego bardzo ciężki w Tomaszowie. Już na początku szkoły, a szczególnie rok [19]48/[19]49 zaczął się wielki wzrost ofensywy ideologicznej. Na górze szkoły była kaplica piękna, to jest piękne liceum. Później [przybył z Lublina –przyp. red.] dyrektor –Roznej się nazywał, który to wszystko rozmontowywał. Znałem go później, bo ten Roznej pracował razem ze mną w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli, jako matematyk. Był dobrym matematykiem. Żona była wicedyrektorem Vetterów, a syn to bardzo zdolny fizyk, wyprowadził się z Lublina i chyba jest w Zielonej Górze, bo tam też jest uniwersytet. Znam ich bardzo dobrze, ale na ogół jest taka opinia, że on to wszystko rozmontował, wprowadzał ten stalinizm, długo nie był, ale ze dwa, trzy lata, może to już wystarczyło, a później już kontynuowali inni, bo wiadomo, nie można było inaczej. Jeszcze w Lublinie można było sobie filozofować, a tam nie. Koledzy, którzy dotychczas chodzili do kaplicy, modlili się, przestali chodzić z dnia na dzień i zaczęli innych za to prześladować. I to było bardzo charakterystyczne. Poza tym zaczęli współpracować z Służbą Bezpieczeństwa, jeden nawet nosił pistolet, z mojej klasy. Stąd nastąpiło takie

rozwarstwienie i kto się nie angażował, a ja do nich należałem, to nie miał łatwego życia, a szczególnie później, o czym jeszcze powiem.

## **6. Praca w klinkierni i inne zajęcia**

Wracając do tego okresu po szkole, to były lata [19]51 do [19]53, też bardzo trudne, potem już w [19]53 roku umiera Stalin i sytuacja zaczyna się trochę rozluźniać. Zacząłem wtedy pracować w Klinkierni Budy, tak się nazywa, jak jedzie się do Tomaszowa, można zobaczyć, już w tej chwili to jest ruina, po lewej stronie. Tam robiłem listy płac. Po pewnym czasie przyjechała Służba Bezpieczeństwa, bo widocznie ktoś musiał bardzo się mną interesować i kazali mnie zwolnić. Personalny, chodzący w butach gumowych, wezwał mnie i powiedział: „Panie, coś pan takiego zrobił, że pan tu nie może pracować?” A przecież nie było drugiego człowieka po maturze w tym rejonie, ani na wsi, ani w tym zakładzie. No więc oczywiście to świadczy o tym, że to była polityczna sprawa. Zostałem zwolniony, odsiedziałem trochę w domu, następnie pojechałem szukać szczęścia do Zamościa. Tam spotkałem dwóch moich kolegów, też z Tomaszowa, którzy po pierwszym roku liceum przenieśli się do technikum geodezyjnego w Lublinie. I ci koledzy pracowali tam w geodezji. Powiedziałem im, że szukam pracy, a oni: „A, to dobrze, to będziesz nam łaty nosił” jako taki pracownik fizyczny. Oczywiście zgodziłem się na to, bo coś trzeba było robić, ale problem polega na tym, że miałem tylko jedną parę butów i postawiłem te buty na kuchni, u takiej babci, u której mieszkaliśmy z moim bratem tym, który wyszedł z więzienia. Spaliśmy tam na takiej sofie, właściwie jednoosobowej, a ponieważ spaliśmy we dwóch, to na komendę przierzucaliśmy się na drugi bok: to w lewo, to w prawo. Tak niestety było. Postawiłem więc buty na kuchni, żeby obeschły, a te popękały, dziury się porobiły, no dramat. I kiedy mnie się te buty prawie rozsypały, przyjechał mój ojciec, saniami, bo wtedy zima to była zima, to nie tak, jak dziś. I zobaczył mnie takiego, prawie bosego, i mówi: „Synu, wsiadaj na te sanie i jedziemy do domu” I oczywiście wróciłem do tego domu, ale bez perspektyw, nie miałem pracy, bardzo to przeżywałem wszystko, dlatego że wszyscy znajomi na ogół poszli na te studia –do Warszawy, wszędzie, do Gdańska, no gdzie mogli, ja niestety bardzo to przeżywałem. Nie mogłem sobie poradzić, nikt mi nie mógł pomóc, bo wiadomo: radź sobie sam. To był bardzo trudny okres dla mnie.

## **7. Studenckie kłopoty**

Trzeba dodać, że mój brat, Sylwester, starszy brat, niestety został oskarżony o posiadanie pistoletu, a miał dopiero szesnaście lub siedemnaście lat i został aresztowany, i siedział w Tomaszowie, następnie tutaj w Lublinie, na Zamku. To też oczywiście nie ułatwiało sytuacji, a do tego miałem rodzinę o tym samym nazwisku w Stanach Zjednoczonych. Może to jest dziwne, ale to było przestępstwo wtedy, żeby

mieć rodzinę za granicą, w Stanach Zjednoczonych. Z tych powodów nigdzie się nie mogłem dostać na studia. Startowałem pierwszy raz, do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Warszawie, bo taka szkoła była przez pewien czas, dawno jej nie ma –papiery zaginęły, nie ma. Drugi raz na Wydział Prawa, tu w Lublinie, jest to samo, dopiero za trzecim razem dostałem się tu na historię na UMCS, a to dopiero była historia nowo utworzona i może wymagania były mniejsze, ale myślę, że miały na to wpływ i inne czynniki. Także w [19]53 roku dostałem się tu do Lublina, dostałem stypendium, byłem wielce zdziwiony, uradowany, mogę tu sobie pozwolić na taką uwagę, że w komisji był taki magister, początkujący naukowiec, Franciszek Cieślak, który pochodził z mojej miejscowości, był asystentem. A ponieważ też był później prześladowany, też siedział, wydaje mi się, że on tym palcem Bożym pokierował, dlatego że był w komisji. Tak przypuszczam, nigdy nie rozmawiałem z nim na ten temat, ale zakładam taką sytuację. Akademików jeszcze nie było, blok A był męski, dopiero się budował, a my mieszkaliśmy u zakonników, bo zabrano Zakonowi te pomieszczenia na Krakowskim Przedmieściu, wtedy tak czyniono, i tam nas umieszczono. Były tam oczywiście metalowe łóżka, po kilkanaście osób w jednej sali.

## **8. Lublin w latach pięćdziesiątych. Życie studenckie**

Nie było Miasteczka Akademickiego, nie było żadnego kampusu. Blok A był budowany, dopiero jak byłem na pierwszym roku studiów, bo jeszcze nie można się było wprowadzić. A na drugim się wprowadziliśmy, pod dziewiętnastką mieszkalem. B był kończony, a później C, bo to cztery lata studia trwały. Dalszych nie było jeszcze, „Chatki Żaka”nie było i żadnych już nie było takich dodatkowych. Jeśli chodzi o wydziały, to Humanistyki nie było, bo Humanistyka była na Placu Litewskim. Prawa nie było, Chemii tej dużej nie było, była Fizyka, bo to ten stary gmach. I to jest wszystko. Zajęcia z historii odbywały się przy Placu Litewskim. Warunki ekonomiczne były ciężkie, w podziemiach gdzieś, w suterrenach, w paltach się siedziało. Stołówka to taki barak był, tam gdzie teraz jest Dom Profesora w tym miejscu, przy Langiewicza to było. Z rozrywek to w moim czasie były tak zwane holówki, wie Pani, co to jest? Holówki, czyli w holu, jak się wchodziło z A, tam są takie podcienie, do B. I tam jest taki hol, przed wejściem do tych dziewczyn. Tam była holówka i tam w sobotę się młodzież pobawiła trochę. Przebierańce robili, sam taki kożuszek włożyłem kiedyś i tańczyłem i to była nasza rozrywka. „Kozienalia”były już trochę później. Natomiast to, co było, to były turnieje krasomówcze. Ciekawe to było, na określony temat studenci się wypowiadali, na przykład [Zygmunt –przyp. red.] Łupina –on wygrywał, znaczy zajmował dobre miejsce, bo on miał dobrą dykcję i sposób mówienia. Działał Zespół Ludowy [Stanisława –przyp. red.] Leszczyńskiego

## **9. Początki działalności w ZSP**

Jestem na drugim roku studiów i jest zebranie Zrzeszenia Studentów Polskich. Przy okazji powiem, że Zrzeszenie Studentów Polskich w moich czasach to była jedyna organizacja, która dawała nadzieję, bo to była organizacja powszechna, do której należała cała młodzież, łącznie z KUL-em. Zajmowano się tam wszystkimi sprawami, z wyjątkiem polityki, ideologii, bo to od tego było ZMP, a my byliśmy w Zrzeszeniu Studentów Polskich od nauki, kultury, turystyki, ekonomii. My byliśmy rodziną w tym ZSP. Mówiliśmy „matka nasza” o tej organizacji i tak to traktowaliśmy. Do dziś my mamy spotkania, a jeśli umrze osoba, której nawet nie znam, ale znam tego, kto dzwoni z wiadomością, to wybieram się na pogrzeb, bo taka jest powinność, to znaczy że jakoś tam kiedyś razem zaczepiliśmy się w działalności ZSP-owskiej. Na drugim roku studiów, a więc dosyć wcześnie, przez przypadek, i tu zaczynają się w moim życiu te przypadki, zostałem zresztą wybrany przewodniczącym ZSP na uczelni. Było to dla mnie ogromne zaskoczenie, ale to był przypadek. Dziewczyna siedząca w auli liceum Staszica po prostu wskazała na mnie. A dlaczego w Liceum Staszica? Dlatego, że wtedy część budynku należała do UMCS-u, później do Akademii Rolniczej, ale początkowo te uczelnie były połączone przez jakiś czas, gdzieś do [19]54, [195]5 roku. I to zebranie było w Liceum Staszica, poszliśmy tam, no nie wiem, było z pięćdziesiąt osób pewnie i było to powszechne. Przyszło do wyborów przewodniczącego. „No, kto zgłasza?” jakaś dziewczyna mówi: „Ten kolega” nie wiedziała, jak ja się nazywam, „o, ten tu, tam” tak jak to bywa w podobnych sytuacjach. „To jak się nazywasz?” no tak, „To chcesz zostać?” „No dobrze” bo nie wiedziałem, za co się biorę nawet. Oklaski, w porządku, zostaję przewodniczącym. Jadę na spotkanie przewodniczących z całej Polski, z wszystkich uczelni, do Międzygórza, a Stefan Olszowski, członek Biura Politycznego przez pewien czas, ale wcześniej przewodniczący Rady Naczelnej ZSP, przywitał mnie w ten sposób: „A cóż to, partyjnego już w Lublinie nie było?” No nie było.

#### **10. Wiec warszawski –wiec lubelski**

Byłem tym przewodniczącym ZSP i o ważnym wydarzeniu chcę powiedzieć, mianowicie rodzi się październik. Mało się w naszym społeczeństwie, mieście, mówiło o październiku, a moim zdaniem jest to absolutny przełom. Październik w Lublinie zaczął się w ten sposób, że studenci w holu bloku B zorganizowali taki mały wiec, przed południem. Ja otrzymuję telefon, a mam studium wojskowe, bo to była sobota, że w akademiku jest wiec i że mnie proszą, jako przewodniczącego. Nie wszystkich znałem, bo wtedy było tysiąc trzysta osób na tej uczelni, więc patrzę, wiele twarzy, które pierwszy raz widzę, myślę sobie, pewnie to była „Służba” Ale powstała dyskusja, że trzeba wybrać delegację, bo jest wiec na Politechnice Warszawskiej. No więc oczywiście wybierają delegację, w tej delegacji znajduje się Stasio Markiewicz, już nie żyje, proponują mnie i jeszcze kogoś, nie wiem, kto to był, Stasio Markiewicz też go nie znał, także myślę, że to był ktoś podstawiony. Dają nam

nawet samochód, jedziemy, i na popołudnie, od razu z marszu na wiec Politechniki Warszawskiej. Warszawa prawie w całości wyległa na zewnątrz, bo to był czas jakiejś wielkiej euforii. Kiedy dojechaliśmy do tej Politechniki, oczywiście weszliśmy na piętro w auli i tam odczytaliśmy po jakimś czasie nasze rezolucje, a chyba były trzy delegacje, oprócz Lublina był Kraków, jeśli dobrze pamiętam, i Gdańsk, jeśli chodzi o studenckie delegacje, ale była cała sala nabitą ludźmi, profesorami, różnymi ludźmi różnych środowisk. Takie wiwaty, jakie tam były, ludzie ściągali z siebie marynarki, płaszcze, jeśli mieli, no coś niesamowitego, to co się działo na sali. I to „wiecowanie” trwało gdzieś do drugiej, trzeciej w nocy. Różni ludzie przemawiali, byliśmy też jeszcze trochę instruowani, że trzeba to organizować i tak dalej. Nad ranem przyjechaliśmy do Lublina. Ale naprawdę Warszawa wtedy była na ulicy, już się szykowało wielki wiec, który później okazał się pamiętny, wtedy [Władysława –przyp. red.] Gomułkę wypuszczono i on na tym wiecu przemawiał. Jak wiadomo, [Nikita –przyp. red.] Chruszczow przyjechał, a Gomułka go odesłał w istocie. Tymczasem my wróciliśmy do Lublina, położyłem się spać, a mieszkałem już w Bloku A, dodam że w pokoju ośmioosobowym, też łóżka piętrowe, a w istocie było nas dziewięciu albo dziesięciu, bo jeszcze byli „waleci” na górze w pokojach mieszkali. W pewnym czasie i mój brat tam mieszkał, ten który przedtem siedział. Nie bardzo więc mogłem wypocząć, bo już zaczęli mnie pytać: „No, co to było, co tam słysząc? Opowiadaj!” I ja pod ogromnym wrażeniem tego warszawskiego spotkania decyduję się, że ogłosimy, że zwołujemy wiec, to była niedziela. To było łatwo nam ogłosić, bo układy mieliśmy w rękach. Edek Fil, Mietek Białas i inni pracowali w radiowęźle, na dole pod nami był taki pokój, były tam urządzenia i nadawało się. We wszystkich pokojach w akademiku były odbiorniki, kołchozniki. Także poszli, ogłosili, że wiec. Jak to oczywiście na takim wiecu, przyszło jakieś sto pięćdziesiąt osób, może dwieście, relację, przedstawiam i tak dalej i co się dzieje? Zgłaszam myśl i to jest moja, podkreślam, moja inicjatywa, mój wkład, że organizujemy wiec powszechny, dla ludności Lublina i Lubelszczyzny, we wtorek, o godzinie szesnastej, na Miasteczku Uniwersyteckim. Nikogo nie pytałem, bo nawet nie było kogo pytać, tylko sam z siebie to zgłosiłem. Jeśli chodzi o sam radiowęzeł, to w naszych czasach mało było audycji, później [Andrzej –przyp. red.] Hajkowski, taki był, który do Warszawy [wyjechał –przyp. red.] i tam organizował coś podobnego, ale to była już cała działalność kulturalna, a w naszym czasie to służyło do tego, żeby jakieś komunikaty potrzebne wygłosić, klucz był u nas, w naszym pokoju, więc ktoś tam siedł i wygłaszał. Ja się w to nie angażowałem specjalnie, to byłoby za dużo na jedną osobę, ale Edek Fil tam te techniczne rzeczy opracowywał, mieszkaliśmy razem w jednym pokoju. Chociaż był historykiem, jeszcze niepełnym, ale studiował, to bardzo się na technice znał, mógł rozebrać i później nie umieli tego złożyć, po swojemu to wszystko organizował. Radiowęzeł działał we wszystkich akademikach. Wydaje mi się, że, nawet na pewno, na A i B, a czy w C, bo tam dopiero C było, dalszych jeszcze w moich czasach nie było. C było już, jak kończyliśmy studia, to było już C, a



innych akademików nie było, „Chatki Żaka” nie było i wielu innych rzeczy jeszcze nie było. Ubóstwo tylko było, trzeba było chodzić na pieszo na Plac Litewski na zajęcia i z powrotem. Szerokie spodnie, koszulina i w ten sposób konieczność trwania.

### **11. Wiec powszechny**

Mieszkałem pod dziewiętnastką na pierwszym piętrze i patrzyłem, jak te tłumy ludzi, łącznie z furmankami, jechały, szły i to się łączyło gdzieś w rejonie KUL-u i Domu Nauczyciela. To wszystko było zajęte, jeszcze nie było budynku Wydziału Prawa, nie było biblioteki uniwersyteckiej, to był plac i aż do akademika, no ogromne tłumy społeczeństwa, więc chcę powiedzieć, że tu nie tylko jestem świadkiem historii, ale współtwórcą historii. Muszę to podkreślić, jakoś chyba mi się to udało. Wcześniej, żeby nie było jakichś takich niewydarzonych sytuacji, podszedłem w radiowęźle do mikrofonu i poprosiłem, żeby stu studentów zgłosiło się w czapkach studenckich, tak jak w wojsku. Przyszli i ja ich rozstawiłem, i dobrze to zrobiłem, bo były ogromnie duże inicjatywy i okrzyki, żeby iść na policję, na wojsko, na partię i tak dalej. To byłaby masakra, więc tu jakoś to się udało zorganizować. Różni ludzie przemawiali, tacy którzy powinni przemawiać i tacy, którzy nie powinni, to ich ściągali ludzie, za płaszcz i z powrotem, na przykład tam ktoś z ZMP był, to go z powrotem i następny niech idzie, różnie to było. Ja przemawiałem w sumie chyba na trzynastu wiecach w październiku, a wśród tych, które bym chciał wymienić: byłem w Bełżycach, na rynku przemawiałem, był jeszcze wiec w kilku zakładach pracy, był też jeszcze wiec, który zorganizowaliśmy już kiedy był zakaz organizacji wieców, bo Gomułka wrócił do władzy i był zakaz organizacji, ale jakoś tak w moim pokoju była taka tendencja, że jeszcze coś trzeba robić, więc rozwieszono plakaty, no i oczywiście ten wiec miał się odbyć w bloku B, tam jest taka świetlica w tym budynku po lewej stronie, no więc dobrze, wiecyk, ale kto go otworzy? Przyjechała Warszawa, cała delegacja, przyjechał [Adam –przyp. red.] Scharf, członek KC, profesor. I teraz kto to otworzy, kto za to będzie odpowiadać? I ja oczywiście to uczyniłem, otworzyłem jako przewodniczący, czyli jak gdyby wziąłem to na siebie. Jeszcze jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że byłem na kawie z Edwardem Osóbką-Morawskim, bo on przyjechał wtedy do Lublina zorientować się, jaka jest sytuacja i oczywiście wskazano mnie jako osobę, która mogła mu to powiedzieć. Jak wiadomo, Osóbka-Morawski był premierem Rządu Jedności Narodowej, [19]45 do [19]47, a później był odsunięty.

### **12. „Czynnik młodzieżowy”**

Jeszcze jedna okoliczność związana z moim przewodniczeniem ZSP, mianowicie jeszcze był taki wiec przedwyborczy, bo w 19[57] pięćdziesiątym siódmym roku odbywały się chyba przyśpieszone wybory po tym październiku i w sali [Juliana –przyp. red.] Marczewskiego, dzisiaj się inaczej nazywa, było zebranie i profesury, i

studentów, i oczywiście mnie bardzo namawiano, żeby utracić pewnego kandydata, a kandydował minister oświaty i nauki, bo to wtedy było razem. Było zacieranie rąk u niektórych, że będziemy mieć posła z Lublina, no niestety nie został posłem, dostarczono mi pewne cytaty z okresu jego publicznych wypowiedzi i jego prac, miałem odwagę z tym wystąpić, przeczytać i to wystarczyło, że odrzucili jego kandydaturę, nie został posłem. W czasie, gdy byłem przewodniczącym ZSP, była też taka sytuacja, że wtedy, w tym czasie stypendia naukowe, były takie, na ogół jedno na wydziale, te stypendia przyznawał senat. Byłem członkiem senatu, znaczy nie członkiem w ścisłym znaczeniu, tylko zaproszonym gościem zawsze, bo to nie tak, jak dzisiaj, że studenci mają swoich przedstawicieli, tego nie było. Rektor, jeśli chciał, to zapraszał przewodniczącego, na ogół, ZSP. Na Placu Litewskim było posiedzenie tegoż senatu i to dotyczyło studenta, dzisiaj znanego profesora, i dziekan wydziału, tu chodzi o Wydział Humanistyczny, mówi, że Rada Wydziału chciałaby przyznać stypendium temu i temu studentowi, ale „czynniki młodzieżowe się nie zgadzają” Rektorem był [Andrzej –przyp. red.] Burda, który był taki energiczny zawsze, zresztą podobno zawsze sobie szedł na głębszego przed posiedzeniem senatu do „Europy” Rektor Burda był zdumiony i mówi: „Jak to, czynniki młodzieżowe? Jest tu czynnik młodzieżowy, co pan sądzi o tym?” a ja ni mniej, ni więcej, tylko powiedziałem: „Jestem za przyznaniem” Czyli idę pod prąd wszystkim czynnikom politycznym. Omal nie wyrzucono mnie ze studiów, tak trudno zdobytych. No, jak ja dzisiaj patrzę na postawę niektórych ludzi, to szkoda słów. A ja wisiałem prawie na włosku, uczepili się mnie, zresztą oczywiście nie patrzyłem na ich przyrzeczenia, zwłaszcza że ja nie należałem, wobec tego nie byłem przywiązany i tu trafił się człowiek, który był sekretarzem partii na uczelni. Nazywał się [Jerzy –przyp. red.] Markiewicz, później był adwokatem, pracował na Wydziale Prawa, był adiunktem, a później był adwokatem w Biłgoraju, pochodził w ogóle z Biłgoraja. On mnie wezwał, objeżdża mnie tam jak smarkacza, ale mówi: „Ale ja cię obronię. Oni cię chcą wyrzucić z uczelni. Ale ja cię obronię, tylko więcej tego nie rób” Ale oczywiście ja dalej robiłem swoje. Wtedy do Zrzeszenia Studentów Polskich przychodzili ludzie ze środowisk na przykład katolickich, wśród dwóch takich działaczek u mnie jedna odpowiadała za naukę, druga za turystykę, to były absolwentki szkoły Urszulanek. Jedna jest na Wydziale Prawa profesorem do dziś, może już jest na emeryturze. W każdym razie tworzyliśmy takie zespoły i to było naprawdę duże zrozumienie wzajemne. To było jedyne miejsce dla tych ludzi, którzy politycznie się angażowali, gdzie mogli. Zresztą wyjeżdżało się na wczasy i tak dalej. Sam zresztą w [19]56 roku, żeby zakończyć ten okres ZSP, pierwszy raz wyjechałem za granicę w ramach ZSP-owskiej wymiany. Z UMCS-u chyba byłem jeden, jedyne, z Akademii Medycznej to był też mój kolega z Tomaszowa, zresztą lekarz późniejszy. I pamiętam taką rozmowę. Jesteśmy nad Balatonem, a jest to przed wydarzeniami węgierskimi i tam opalamy się, a przychodzi takie dziecko małe, chłopak, i tak zaczyna nawiązywać kontakt z nami. Wiadomo, jaki to jest język, myśmy tego nie

znali. „Lendziel, Lendziel”[węg. *Lengyel* –przyp. red.], ja mówię do niego, czyli „Polak” a on: „Poznań, pyk, pyk!” To było znamienne, on wiedział, że w czerwcu w Poznaniu były te wydarzenia, ja byłem zdumiony, ale powtarzam to, żeby pokazać, jak to dziwnie wszystko wygląda. Później nawet żartowano, że zaraz po naszym wyjeździe były ostre wydarzenia, ostrzejsze niż u nas, na Węgrzech.

### **13. „Panie dyrektorze, chcemy pracować”**

Poznałem piękną dziewczynę, która jest moją żoną i którą poznałem przez działalność w Zrzeszeniu Studentów Polskich. Ona była mężem zaufania na swoim roku, zresztą stypendystka naukowa na tym wydziale i nie mogłem ruszać w teren, żeby szukać pracy, tylko musiałem zostać w Lublinie. Może z powodu moich poprzednich działań nie miałem żadnej propozycji, bo to się tak wydaje, że wszystko było proste w tamtych czasach, że się przyszło i od razu się miało pracę, nie. Poszedłem do kuratorium, a naczelnik wyciągnął z szuflady taką listę i mówi: „Jest pan trzynasty” powiedział nawet: „Zemrą (czy umrą), to pan jakoś później pracę dostanie” takie kpiny były, więc ja powiedziałem, że dziękuję, niech sobie żyją. I tu znowu przypadek, to był wrzesień, jeszcze mieszkaliśmy w akademiku, jako waleci, od października są studia, więc nie można już później mieszkać było, ale w okresie wakacji jakoś tak wpuszczano nas, oczywiście za jakąś odpłatnością. Jest wrzesień, a Mietek Białas, który też mieszkał ze mną, a był swego czasu dyrektorem Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, przynosi mi gazetę i tam jest ogłoszenie, że Liceum Unii Lubelskiej potrzebuje dwóch woźnych. A myśmy mieli praktykę w Liceum Unii Lubelskiej, tośmy znali i Radę Pedagogiczną, i oczywiście dyrektora, dyrektorem był [Tadeusz –przyp. red.] Szymański. Więc powiadamy tak: ubieramy się, zakładamy muszki, garnitury i idziemy prosić o tą pracę woźnych. Jest afera. Idziemy do dyrektora, mówimy: „Panie dyrektorze, chcemy pracować” „No przecież, panowie, wiecie, że u nas nie ma etatu historyka” „A nie, to my chcemy być woźnymi” On patrzy na nas z przerażeniem, mamy kwalifikacje, umiemy w piecu palić, bo „Unia” była jeszcze w tym miejscu, gdzie palono w piecach, tam gdzie był później Wojewódzki Dom Kultury. Także mamy kwalifikacje, umiemy palić w piecu, jeszcze dodałem, że jeśli będzie potrzeba, możemy zastąpić nauczyciela, jeżeli będzie chory. No, niesamowite to było, on się złapał za głowę i poleciał, gdzie trzeba z tą informacją, do kuratorium i do partii, że tu szykuje się sensacja. Wróciliśmy do akademika, przespaliśmy się, na drugi dzień mamy telefon. Mietek ma propozycję do szóstego liceum, bo jeszcze nie miał magisterium i miał prowadzić zajęcia z przysposobienia obronnego, zaś ja do drugiego liceum żeńskiego, to jest Arciszowej, na Czwartek.

### **14. Praca w liceum Arciszowej**

Idę na rozmowę do liceum Arciszowej [na ulicę Szkolną –przyp. red.], jest bardzo szlachetna pani dyrektor [Czesława –przyp. red.] Szczerba, bardzo szlachetna, powtarzam, ponieważ później powiem o jednym przypadku. I ona mówi, że to jest na zastępstwo, na jeden rok: „Czy pan przyjmuje, no ale najgorsze jest to, że u nas nie ma mężczyzn. Jest woźny i pan, no jak to będzie?” Zaczynamy sobie żartować, ale rzeczywiście wychodząc, już zauważyłem sytuację, bo zrobiły dziewczyny szpaler, siedziały od pierwszego piętra, od dyrektorki do wyjścia, taki podwójny. To była przerwa, więc mogły sobie zrobić taką hecę małą. Starłem się dobrze pracować na tym zastępstwie. Jedną godzinę miałem prac ręcznych, żeby był etat, bo etat wynosił dwadzieścia trzy godziny. Z historii były dwadzieścia dwie godziny, a ta jedna, brakująca, to były prace ręczne i tu był problem, bo to byli chłopcy, tam była też podstawówka, z dzielnicy oczywiście Lubartowska i okolice, młodzież taka dość trudna [np.: –przyp. red.] jeden z uczniów, zanim ja doszedłem do właściwego miejsca, złapał za siekiere i chciał uderzyć drugiego. Wtedy jeszcze miałem dość duży refleks, trzasnąłem go w twarz, wyrwałem siekiere, wyrzuciłem tą młodzież na zewnątrz i zapaliłem papierosa, takie grunwaldy paliłem, odsiedziałem chwilę i poszedłem do dyrektorki, mówię: „Pani dyrektor, chcę odejść, proszę mnie zwolnić, ponieważ ja uderzyłem ucznia” opowiadam jej, jak to było, a ona mi na to mówi tak: „Nie, niech pan zostanie, będziemy teraz wszyscy mieli spokój” bo on potrafił butelką rzucać na lekcji w tablicę, niesamowity chuligan był. I rzeczywiście uspokoił się, bo tego potrzebował, dlatego prowokował. Także jeszcze jeden rok przepracowałem, a dyrektorka później na naradzie dowiedziała się, jak ja [dostawałem się do jej liceum –przyp. red.], ale to jej nie przeszkadzało, co więcej, na naradzie dyrektorów liceów z Lublina powiedziała, że ma człowieka, który powinien zostać w zawodzie, że szkoda, gdyby on miał odejść, a nie ma żadnej propozycji i może któryś z dyrektorów ma etat. I wtedy dyrektor [Tadeusz] Lewacki, dyrektor Liceum Staszica powiedział: „Niech przyjdzie do mnie!” i ja na drugi dzień poszedłem, to był rok [19]59, bo zacząłem pracę na zastępstwo [19]57 do [19]59.

## **15. Praca w Liceum Staszica**

Zostałem przez dyrektora Liceum Staszica przyjęty, powiedział: „Dobrze, że pan jest mężczyzną, bo ja chcę zachować taką równowagę –odpowiednia ilość kobiet i mężczyzn w gronie pedagogicznym” i zacząłem pracować. W dalszym ciągu jestem bezpartyjny, nie bardzo to już było dobrze widziane, oczywiście powierzano mi różne zadania, ja się z nich wywiązywałem, mogę powiedzieć, jaką rolę mogłem odegrać w liceum Staszica. Po pierwsze, olimpiady. Olimpiady wiedzy o Polsce, przez pewien czas mieliśmy zawsze pierwsze miejsce. Po drugie, był taki konkurs, to nie tylko moja zasługa, choć jako historyka w pewnym sensie tak. Był taki konkurs ogólnopolski, telewizyjny „Od Cedyni do Siekierok” czyli od Mieszka I do jednej z ostatnich bitew drugiej wojny. Uczniowie Staszica zajęli drugie miejsce w krajowym rankingu, to była

taka godzinna audycja telewizyjna, trzy drużyny brały udział. Zorganizowaliśmy też przy skromnym moim udziale obchody [czterystolecia –przyp. red.] szkoły, ale może najważniejsze, że wtedy odważyłem się zorganizować taką konferencję, można nazwać naukową, uczniowską, z wystawą też różnych pamiątek, w setną rocznicę powstania styczniowego, w [19]63 roku. To nie było tak w tamtych czasach, że takie rocznice trzeba było obchodzić. To było duże ryzyko. I przybyła młodzież różnych szkół lubelskich, a szczególnie udała się wystawa, przyniosła ta młodzież i rodzice tyle tych pamiątek, że nie było gdzie wystawić. A to było sto lat po powstaniu styczniowym. Praca w Staszycu, że [to duży –przyp. red.] splendor. Paru nauczycieli było przedwojennych, w tym dyrektor szkoły, Lewacki, uczył tam jeszcze przed wojną. Sekretarka dyrektora, czyli kancelarii, pani Moniewska, była żoną przedwojennego dyrektora, który tu, na Zamku, został rozstrzelany, jak weszli Niemcy. Jak wiadomo, Niemcy rozstrzelali wtedy dziesięć osób, ale najważniejszych osób dla Lublina, czyli dyrektor Staszica należał do tej elity, zresztą trudno się dziwić. Uczelni wyższych poza KUL-em nie było, a KUL był taką jakby prywatną, kościelną, a więc nie odgrywał jeszcze takiej roli jak dzisiaj, a Staszic był na pewno taką szkołą bardzo prestiżową, znakomici nauczyciele w niej kształcili i w takim gronie to się trzeba było dobrze starać, żeby wypłynąć, żeby być zauważonym i szanowanym. To była męska szkoła, wtedy w klasie było tyłu uczniów, ilu się w dzienniku dało zapisać, a więc czterdzieści siedem, czterdzieści osiem, nie tak jak dzisiaj, dwadzieścia parę. Ale jakoś tak mi się układało, że nigdy nie miałem problemu z dyscypliną. Jakoś ten język miałem właściwy, chociaż pewnie dziś niektórzy powiedzieliby, że gdzieś tam ogłupiałem tych uczniów, ale takie były czasy. Chociaż jak się spotykam z byłymi uczniami, a zapraszają mnie, ja jeden jedyne żyję z tamtych lat, to czasami ich pytam, jak siedzimy sobie tak razem, czy bardzo ich ogłupiałem, a jeśli tak, to przepraszam. Bo, jak wiadomo, trzeba było mówić o Układzie Warszawskim i tak dalej. Ale, powtarzam, do dziś mam dobre stosunki z tą częścią młodzieży, która mnie zauważa. Zawsze każdego roku przynajmniej na dwóch, trzech spotkaniach bywam.

#### **16. „I co z tego, że nie wie?”**

Chciałem przywołać jedną charakterystyczną sytuację z czasów liceum Staszica, trochę nawet polityczną. Uczyłem wtedy WOS-u, Wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, a historii uczył inny historyk, też chyba przed wojną pracował. Był to czas, kiedy z jedną oceną niedostateczną można było ucznia puścić. Był egzamin komisyjny, stół, był oczywiście pan dyrektor Lewacki, był nauczyciel historii, była wychowawczyni, zacna pani [Małgorzata –przyp. red.] Szewczyk. Ona cieszyła się dużym szacunkiem, świetnie się z nią pracowało. Zrobiła taką historię szkoły w obrazach, jak się wchodzi do Liceum Staszica, to jest jej dzieło. Ja troszeczkę pomagałem, ale ona głównie. Wracając do egzaminu jej wychowanka, patrzę, to był

słaby uczeń, ale z historii ten nauczyciel mógł go puścić. A on, na oczach tego ucznia wpisuje mu ocenę niedostateczną, miał ładny charakter pisma: ndst –podpisał się i przysunął te papiery w moją stronę. Uczeń to wszystko widzi i dochodzi do tego, że ja go pytam. On niewiele, ja jakoś staram się, mam takie dziwne usposobienie, że jak myślę, że ktoś niesprawiedliwie został oceniony czy mógłby inaczej, to wtedy zaczynam mu pomagać. W pewnym czasie niesłusznie dyrektor zadał takie pytanie, kto to jest Kozdra czy jak się nazywa pierwszy sekretarz partii. Nazywał się [Władysław –przyp. red.] Kozdra oczywiście. On nie odpowiedział, bo już od dłuższego czasu mało odpowiadał. Dyrektor mówi: „Dziękuję” a uczeń wyszedł. I do mnie: „Co pan na to?” Ja mówię: „Proponuję ocenę dostateczną” On mówi: „Panie, on nie wie, kto to jest Kozdra, a pan mu ocenę dostateczną proponuje?” A ja zaczynam uzasadniać, wreszcie mówię: „No i co z tego, że nie wie? Może mu łatwiej żyć?” Wtedy chyba zdobyłem duży autorytet wśród tych, którzy tego słuchali. Uczeń wyszedł i my wyszliśmy na przerwę, a przerwy były długie, nawet z koniaczkiem, bo to takie czasy były, z dobrym jedzeniem. Jestem na dole, właśnie w tej świetlicy, gdzie to jedzenie jest, a nagle sekretarka z piskiem przylatuje i mówi, że uczeń tenże porwał na sobie ubranie i został zawieszony do Abramowic. Spotykamy się w gabinecie dyrektora. „Matura to matura!” powiadają. „Nie umiał!” a dyrektor tego szpitala abramowickiego, wiadomo że to jest psychiatryczny szpital, Brennenstuhl, był absolwentem liceum Staszica, zadzwonił do pani Moniewskiej, którą znał, a która pracowała w sekretariacie, i powiedział, że jeśli on nie dostanie tej matury, to może z tego nie wyjść. Ja się upieram wtedy, że pan dyrektor przekroczył uprawnienia swoje, bo nie powinien postawić takiego pytania, a mógł mu postawić ocenę dostateczną. Wszystko było „na pan” to starsi ludzie byli dla mnie. Szum niesamowity, „nie, my nie ustąpimy!” Pojechałem bez ich wiedzy dyrektora do kuratorium i zgłosiłem taki fakt. W kuratorium byli zdumieni: „To się dzisiaj działo?” „Tak” „Dobra, idziemy!” dwie osoby przyjeżdżają, biorą papiery, patrzą. Tam był mój protest, dyrektor powiedział, że ocena niedostateczna, a ja protestuję. To też uratowało sytuację, bo nie tylko słownie, ale i pisemnie zaprotestowałem. Oczywiście uczeń otrzymał świadectwo, co z nim się dzieje, nie wiem, w życiu go nie widziałem, być może myślał przez jakiś czas, że go dobiłem, mógł to tak odbierać. Nie wiem, to rola wychowawczyni powinna być, żeby wyjaśnić to, w każdym razie tak było. Opowiadam o tym, bo to trudne wspomnienia, ale pokazujące istotę rzeczy.

### **17. „Będziecie dyrektorem!”**

Po pięciu latach pracy w liceum Staszica zaproponowano mi pracę w ośrodku metodycznym. Rolą kogoś zatrudnionego w takim ośrodku było doskonalenie nauczycieli, chodzenie na hospitacje, oceny, ale nie oceny dla władzy, tego nie można było robić, to trochę tak jak ksiądz ze spowiedzią, to była taka bezpośrednia rozmowa nauczyciela i tego kogoś z ośrodka, a etat sześciogodzinny był w szkole,

czyli ja przyjeżdżałem do szkoły na trzy godziny, później miałem sześć godzin, ale byłem etatowym pracownikiem aż do roku [19]73, w liceum Staszica, od [19]59 w Studium Nauczycielskim do [19]73. Później już się szkołą nie interesowałem, ale kiedy dyrektor Lewacki odchodził na emeryturę, zaczęto szukać kandydata. I grono, i rodzice wskazywali mnie jako kandydata. „Przecież ja jestem już na boku” mówię. „No, ale może by ten pan Mańdziuk to przyjął” Ja nie chciałem przyjmować stanowiska, ponieważ się bałem, że ja będę dyrektorem dwa dni, trzy dni, może miesiąc, bo ja nie wykonam polecenia takiego, jak dyrektorzy wykonywali. W liceum Staszica byłem też przewodniczącym podkomisji, czyli przyjęć młodzieży, gdzie uczniowie zdawali, no i oczywiście potem ten ma cztery, ten ma trzy, a dyrektor mówi tak: „Tego przyjmujemy z trójką, a tego z czwórką nie” a ja się pytam: „Dlaczego?” „No bo jego ojciec jest zasłużony tam gdzieś, a o tym to nic nie wiemy” To ja mówię, że nie dość, że ojciec ma zasługi, to jeszcze i dziecko z tego tytułu ma mieć? Sprzeciw! Takie były sytuacje, więc oni uznali, że to nie jest ze mną możliwe. No i zaproponowano mi, żeby oczywiście przyjąć to, więc ja tak bardzo, bardzo niechętnie zgodziłem się. Ale rzecz polegała na tym, że trzeba było pójść na rozmowę do Komitetu, do Pierwszego Sekretarza Partii w mieście. Nazywał się Zieliński. Nawiasem [mówiąc –przyp. red.], uczyłem jego syna, bardzo zacny chłopak. I [tenże sekretarz –przyp. red.] on do mnie mówi tak: „Bedziecie, bedziecie...” jak to wtedy mówiono, „dyrektorem...” i wymienia „Liceum Zamojskiego” Ja tak patrzę na niego: „Dlaczego? Liceum Zamojskiego, nie Staszica?” „No bo tam ktoś inny pójdzie” I mówi: „Pójdziecie do Zamojskiego” Ja mówię: „Nie, nie, nie, ja nie pójdę do Zamojskiego” „A czego?” „Bo mnie tam wcale nie oczekują, ja nie jestem z liceum Zamojskiego i nie muszę być dyrektorem. Ja MOGĘ tylko być dyrektorem Staszica i to prawie trzeba mnie o to prosić” „Nie, to nie bedziecie dyrektorem Staszica” Ja oczywiście: „Do widzenia” i wychodzę. No i oczywiście: „Bedziecie tego żałować!” jak to wtedy było. No to dobra, będę żałować. Oczywiście nie zostałem dyrektorem, a do Zamojskiego nie poszedłem, bo oni mieli swojego kandydata. Ja i tak to robiłem z niechęcią, chociaż miałem taką ideę, że może coś bym zrobił dla tej szkoły, zawsze dyrektor, jak by był parę lat, no to jest jakaś epoka, było coś do zrobienia. Ale niestety, nie udało się, także tak już zakończył się ten etap.

## **18. Współpracownicy i „opiekunowie”**

Kiedy pracowałem w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli, miałem sześć godzin w etacie w szkole, a pozostały czas miałem na doskonalenie nauczycieli, to był prestiż, na całe województwo. Musiałem jeździć do szkół i tak dalej. Jest rok [19]68, ciągle mam takie kłopoty polityczne, bo zawsze muszę się w coś wpakować, nawiasem mówiąc w październiku przez pewien czas miałem osobistego opiekuna z Bezpieki. Gdzie się pojawiałem, tam tenże człowiek był. Nie zorientowałem się sam, ale koledzy mi to powiedzieli: „Uważaj na tego i tego, czekaj, ja ci pokażę, który to jest” I

ja go szybko zauważyłem, bo był nawet charakterystyczny, ale chcę powiedzieć, że on później chciał córeczkę w Staszicu umieścić i nie umiał ugryźć tematu, docierali do mnie różni ludzie, bo ja byłem przewodniczącym komisji. Ale ona była bardzo dobrą uczennicą, więc nie trzeba było żadnej pomocy. No ale, jak to mówią, było zabezpieczenie. I swego czasu jadę do Zamościa z synami, małymi chłopakami, a to w tamtych czasach był ogromny tłok, dostać się do autobusu to był problem. I ja tak wpycham się, wpycham z tymi dziećmi. I nagle patrzę, pojawia się ten facet, podchodzi do kierowcy, coś mu szepnął, kierowca mówi: „Proszę wejść” i weszliśmy. Mało tego, w Zamościu wysiadł, poszedł do kiosku i kupił jakieś zabawki dla jednego i dla drugiego. Jednym słowem zrehabilitował się chłop [śmiech]. Także jest rok [19]68, a my w Ośrodku Doskonalenia mieliśmy tych doradców, kierowników z różnych sekcji, z matematyki kilku, z fizyki, z chemii i tak dalej. To powinni być najlepsi nauczyciele, którzy mogą doradzać innym, jak marny, to nie będzie doradzał, nie pójdzie do liceum Unii, Staszica czy Zamojskiego, nie będzie doradzał, skoro jest marny. I to był matematyk V Liceum. On lubił politykować, a uczennica na lekcji zapytała go, bo to był marzec [19]68 roku: „Panie profesorze, czy w tej sytuacji Kozdra, ciągle wypominam to nazwisko [śmiech], powinien odejść?” a on bez namysłu: „Oczywiście, że tak!” Za parę minut Służby Bezpieczeństwa wiedziały, czyli uczniowie też współpracowali. I co się stało? W kuratorium go zawieszono i odwołano z funkcji tego kierownika. To był przemiły człowiek i mądry, więc ja organizuję obronę. Pytam kolegów, kto teraz jest odpowiedzialny za oświatę. [W UB –przyp. red.] wymieniają mi nazwisko, oficera w stopniu pułkownika. Dają mi telefon, ja dzwonię do niego, przedstawiam się i mówię: „Chciałem się z panem spotkać” „A gdzie pan proponuje?” „Może w «Lubliniance» się spotkajmy, tylko ja pana nie znam” „To nie szkodzi, ja pana dobrze znam” I oczywiście przychodzę do „Lublinianki” a kelnerka mówi: „Proszę usiąść przy tamtym stoliku, ten pan na pana czeka” Siadam do stolika i zaczynam mu tołkować, dlaczego oni tego człowieka zwalniają. I wreszcie użyłem takiego głupiego argumentu, mówię: „A gdyby tak pan był tam na jego miejscu, co by pan zrobił? Nie musi pan odpowiadać, ale co by pan zrobił, chcąc być uczciwym człowiekiem?” W ten sposób pogadaliśmy, nie wiem, co on tam zapisał w notatce służbowej, jaka powstała pewnie po tym spotkaniu, natomiast faktem jest, że udało nam się tego człowieka uratować. Wrócił do tego doradztwa, już nie żyje niestety, z mojego roku wiekowo.

## **19. Działalność w IKNiBO**

Inna część mojego życia zawodowego zaczyna się w [19]73 roku, kiedy zamiast Okręgowego Ośrodka Metodycznego w Warszawie powstaje Instytut Kształcenia Nauczycieli, a w Lublinie i w innych województwach Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych. IKNiBO się to nazywało, taka placówka oświatowa na statusie naukowym, więc trzeba było zrobić doktorat. Ja zacząłem wcześniej, na UMCS-ie, na



Wydziale Pedagogiki i Psychologii, w [19]74 roku już ten doktorat ukończyłem i zostałem powołany na wicedyrektora tegoż ośrodka, tego IKNiBO, odpowiadałem za sprawy naukowe i wydawnicze. I to, co mogę powiedzieć z czystym sercem, zorganizowałem dzięki kolegom w Warszawie i tak dalej, ze Zrzeszenia Studentów Polskich, dość dobrą pracownię poligraficzną, bo to nie tak jak dziś, że się wszystko kupuje, wtedy trzeba było mieć przydział centrali na zakup. I to mi się udało, a po drugie to trochę badania naukowe się rozwinęły, przejęliśmy „Lubelski Rocznik Pedagogiczny” gdzie zamieszczane były materiały naukowo-dydaktyczne, także ludzie mieli możliwość publikacji. W czasie największego rozwoju pracowało u nas dwudziestu ośmiu doktorów, a to, jak na taką placówkę, która dopiero się tworzyła, wcale nie było takie łatwe. W tej chwili z tych doktorów troje jest chyba na KUL-u.

## **20. Działalność polonijna i zakończenie kariery zawodowej**

Inna część mojego życia łączy się z tym, że związałem się z Polonią, to znaczy powstało w Lublinie Centrum Kulturalno-Oświatowe, tak się nazywało, UMCS i Towarzystwa „Polonia” Byłem przez dwanaście lat członkiem Rady Naukowo-Programowej tego Centrum, byłem też w redakcji „Wisielki” to jest takie czasopismo dla nauczycieli polonijnych i byłem członkiem kolegium „Rocznika Polonijnego” taki był wydawany w Lublinie, nie wiem, czy teraz też jest. Ale istota polega na tym, że byłem trzy razy kierownikiem kursu dla nauczycieli z całego świata. To duża sprawa, to jakaś taka część mojej działalności, która mi przyświecała. A poza tym już w [19]98 odszedłem na emeryturę. Później zajmowałem się trochę różnymi spotkaniami, próbą pisania materiałów dla Zrzeszenia Studentów Polskich, zresztą to mi nie wyszło, ale zrobiliśmy parę takich istotnych spotkań i w Kazimierzu, i w Lublinie. Muszę powiedzieć, jak na spowiedzi [śmiech], że jestem już na głębokiej emeryturze, bo to prawie dwadzieścia lat, w tym roku będzie dwadzieścia lat. Skończyłem również w Warszawie Szkołę Praw Człowieka, organizowaną przez Helsińską Fundację [Praw Człowieka], a to niewielu ludzi w Lublinie skończyło. Byłem w pierwszym etapie zdających, chyba miałem czternasty numerok dyplomu, to był komisyjny egzamin. Dalej, zrobiłem trzeci stopień specjalizacji w Warszawie i to z wyróżnieniem. Dużo było tych działalności różnych [byłem sekretarzem Okręgowym Olimpiad o „Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym” „Wiedzy o Unii Europejskiej” „Wiedzy o Izraelu” Po przemianach ustrojowych i przed przejściem na emeryturę w 1998 roku zostałem dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Lublinie przy ulicy Dominikańskiej 5. Wprowadziłem tam komputeryzację, powołałem pracownię problemowe, powołałem czasopismo dla nauczycieli, zorganizowałem hotel, bar i stołówkę –przyp. autora]. Natomiast dziś z żoną uprawiamy działkę taką pracowniczą.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2018-01-19, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Joanna Majdanik
<b>Redakcja</b>	Natalia Boczek
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"